

Rozdział I

Zarzynane Miasto

Gdzieś w równoległym świecie, ukrytym obok świata Darkara, rozgrywają się wydarzenia, które niegdyś wydawały się jedynie fantazją. W tym mrocznym i tajemniczym wymiarze, siły zła i nadprzyrodzone istoty kształtują losy jego mieszkańców, pozostając niewidoczne dla zwykłych śmiertelników.

Pamiętnik Franka

*Dnia 14 sierpnia 1944 roku, w sercu zarzynanego miasta, wydarzyło się coś, co na zawsze zmieniło nasze życie. To było jak przebudzenie z koszmaru, który nie chciał się skończyć... – **Frank***

Uciekał już od wielu dni.

W schronie, do którego dotarł Kazik, brakowało świeżego powietrza, a sytuację pogarszały jeszcze wiadra z odchodami, które stały tuż za zaułkiem w tej samej piwnicy. Wokół panował półmrok, którego nie potrafiły rozjaśnić małe okienka w ścianach. Dodatkowo w powietrzu unosił się gryzący zapach nielicznych lamp naftowych, spoconych ciał i wyczuwalnego strachu. Podobnie jak wszyscy zgromadzeni w tej cuchnącej piwnicy, Kazik uciekał przed barbarzyńcami w tym zarznanym mieście. Wszyscy mieli nadzieję przeżyć.

Przy jedynym wejściu do schronu zawsze na czatach stało dwóch mężczyzn. Ci strażnicy mieli chronić przed ewentualnym wykryciem i zapewnić bezpieczeństwo. Ta straż miała im pomóc uniknąć wpadki. Wszyscy bali się, że Niemcy ich odnajdą i zgładzą.

Frank, zaniepokojony o swojego kumpla, spojrzał na Kazika z mieszaną nadzieją i lękiem. Jego serce biło szybciej, gdy zastanawiał się, czy Kazik również czuje tę samą bezsilność i strach.

Codziennie słyszeli przez mury odgłosy wybuchów, strzały oraz płacz. Nieliczni, którym dopisało szczęście i dotarli cało do schronu, opowiadali, jak cudem ocalili z pogromów, przedstawiali niewyobrażalne obrazy rzezi i braku litości ze strony żołnierzy. Te opowieści wzmacniały ich strach i determinację do przetrwania.

Atmosfera w schronie stawała się coraz bardziej napięta. Strach i niepewność przenikały każdy zakamarek, a nadzieja na przeżycie wydawała się coraz

bardziej krucha. Czuć było, jak napięcie gęstnieje, a każdy dźwięk mógł zwiastować nowe niebezpieczeństwo.

Pewnego dnia, niespodziewanie jedna ze ścian runęła pod wpływem wybuchu. Z wyrwy wynurzyło się dwóch intruzów. Na szczęście dla ukrywających się tutaj ludzi, nie byli to Niemcy. Nieznajomi zostali otoczeni przez mężczyzn uzbrojonych w noże i kije.

– Coście za jedni? – warknął facet o pomarszczonej, jak skóra pomarańczy, twarzy, patrząc na nowych przybyszów z podejrzliwością.

Jego ręce były spięte, a oczy pełne nieufności. Zmarszczony czoło zdradzało jego podejrzliwość.

– Ludzie, spokojnie, jesteśmy swoi. Uciekamy przed Niemcami. Dwie ulice dalej jest pacyfikacja – drżącym głosem z przerażenia wyjaśnił jeden z dopiero co przybyłych do piwnicy.

Jego głos drżał nie tylko ze strachu, ale także z nadziei na akceptację.

– Już są tak blisko od nas!?! Niedobrze, niedługo dotrą do nas... – zakwiliła kobieta, która tuliła kilkuletnią blond córeczkę. – Dokąd my dalej uciekniemy! Nie ma już gdzie... Nie ma...

– Weź się w garść, kobieto. Musimy stąd natychmiast uciekać, fryce mogą tu być lada moment! – krzyknął do płaczącej kobiety młody chłopak, z determinacją w głosie.

Jej dłonie drżały, a oczy pełne były łez, które nieustannie spływały po jej policzkach.

– Głosujmy zatem – zaproponował ktoś inny, starając się zebrać wszystkich do wspólnej decyzji.

Na jego twarzy malował się wyraz powagi, a ręce były splecione na piersiach.

Po burzliwej naradzie większość postanowiła, że jeszcze tę jedną noc spędzą w schronie, a nazajutrz przeniosą się dalej, z dala od niemieckich żołnierzy. Ci, którzy byli przeciwni tej decyzji, powoli zbierali się do opuszczenia kryjówek.

Zmęczenie i stres zaczynały brać górę nad resztą. Decyzja o pozostaniu na noc w schronie dawała jedynie chwilową ulgę, ale obawiali się, że jutro sytuacja może się jeszcze pogorszyć.

Niemcy palili lub niszczyli kolejne schrony oraz kamienice bezlitośnie i metodycznie, często obawiając się ryzyka śmierci z rąk powstańców. Nie zależało im na tym, aby pozbyć się ostatnich lokatorów. Przed spalaniem budynku wprawdzie wzywali do opuszczenia piwnic lub ruin, jednak w całym zamieszaniu nikt nie był w stanie ich usłyszeć. Ci, którzy opuścili dotychczasowe schronienie, byli zabijani bez litości. Oprawcy nie trudzili się, aby zidentyfikować, czy są „bandytami”, jak ich nazywali, czy też niewinnymi cywilami. Na koniec, przy użyciu miotaczy ognia i granatów, dokończali dzieło zniszczenia.

Widok płonących budynków był przerażający. Głuchy huk eksplozji i tańczące iskry rozświetlały mrok, a strach przed kolejnymi atakami sprawiał, że wszyscy byli na krawędzi nerwów, nie wiedząc, co przyniesie jutro. Każdego dnia napięcie rosło, a atmosfera stawała się coraz bardziej dusząca.

Jednak ile można uciekać przed przeznaczeniem? Kazik czuł, jak jego serce ściska się z bezsilności i rozpacz. Każde kolejne uderzenie serca przypominało mu o bliskim niebezpieczeństwie. W końcu żołnierze dopadli Kazika wraz z resztą ocalałych z pogromu. W okrażonej kamienicy nie było już drogi ucieczki. Nie mieli wyboru, musieli wyjść z ukrycia. Wśród nich była jedna kobieta, która świetnie znała niemiecki, ponieważ studiowała w Berlinie przed wojną. Ochotniczo zgłosiła się, aby negocjować warunki opuszczenia piwnicy przez cywilów. Wraz z dwoma innymi ochotnikami miała rozmawiać z niemieckim oficerem na temat warunków wyjścia uciekinierów na ulicę. To była ich ostatnia szansa na przeżycie.

Delegacja wyruszyła w upiornym milczeniu, ich kroki odbijały się echem w pustych, ciemnych ulicach, a każdy oddech był ciężki od strachu.

W sercu chaosu, gdzie nadzieja zdawała się gasnąć, delegacja ruszyła w stronę nieznaną przyszłości, z desperacją w oczach i jedynie pragnieniem przeżycia.

Kazik stał wraz z innymi pod ścianą kamienicy, trzymając ręce w górze. Zostali otoczeni przez wrogą formację policyjną i przeszukani. Oficer, z którym negocjowali warunki opuszczenia schronu, obiecał, że nie zostaną zabici. Jednak Kazik miał wątpliwości co do jego szczerości. Niestety, miał rację, gdy tylko zobaczył, jak potraktowano młodą kobietę, która prowadziła negocjacje. Została zgwałcona i zastrzelona w pobliskich ruinach. Widział to na własne oczy, co jeszcze bardziej wzmocniło jego nieufność. Niewielu z tego oddziału rozmawiało po niemiecku, co dodatkowo utrudniało komunikację.

Chłopak wiedział, co zaraz nastąpi, widział to już wielokrotnie. Każde takie wydarzenie utwierdzało go w przekonaniu, że sytuacja jest beznadziejna.

Żołnierze wyciągali z szeregu kolejnych cywili i sprawdzali ich karty identyfikacyjne, po czym wyrzucali je za siebie gwałtownym ruchem ręki. Na chodniku, pośród porzucanych wokół cegieł ze zniszczonych budynków, leżało już wiele podeptanych dokumentów tożsamości. Jeden z obecnych tu barbarzyńców, pijany żołnierz, wziął wybranego wcześniej z szeregu cywila i zaprowadził go za pobliską, płonąca kamienicę. Głośny strzał przerwał ciszę, a kat po chwili wracał sam, bez śladu swojej ofiary.

Inny z oprawców chwycił młodą kobietę za włosy i zaciągnął ją w pobliskie ruiny. Usłyszał stamtąd tylko gwałtowny krzyk gwałconej kobiety. Wrócił po kilku, może kilkunastu minutach, z szyderczym uśmiechem na ustach, niezdarnie zapinając spodnie. Blondynka spoczęła tam już na wiečność, jej ciało nieruchomo leżało wśród gruzów.

Nagle z szeregu wybiegł rówieśnik Kazika – Franek. Rzucił się z pięściami na zbrodniarza. Strażnicy dopiero po dłuższej chwili zorientowali się w sytuacji. Sięgnęli po broń. Kazik wykorzystał powstałe zamieszanie, runął w stronę kumpla i chwycił go za kołnierz kurtki, odrzucając go od oprawcy.

– Spierdalaj! Słyszysz... – nie dokończył, gdyż kolba karabinu spadła na jego kark.

Kątem oka, upadając, zdołał zauważyć jeszcze chłopaka znikającego gdzieś między ruinami i usłyszeć z oddali odgłos strzałów. Potem zapadła głęboka cisza.

Stracił przytomność.

– Wstawaj, polska świni! – wrzeszczał wściekły oficer, jego głos przeszywał powietrze pełne zapachu przetrawionego alkoholu w ciemnej uliczce. Wszyscy z tego oddziału byli ostro zalani, ich ubrania przesiąknięte brudem i potem.

Mimo krzyków i kopniaków, Kazik nie reagował. Jego twarz była blada, a oczy pełne głębokiej bezradności. W końcu, na polecenie przełożonego, jeden z żołnierzy chlusnął na niego wiadrzem zimnej wody. Do cywila powoli zaczynała docierać świadomość. Otworzył szeroko oczy i oszołomiony podniósł się, chwiejnie próbując utrzymać równowagę. Nie kojarzył, co się z nim stało. Chwiał się na nogach, a jego oddech był ciężki i przyspieszony. Dwóch żołnierzy złapało go za ramiona i postawiło przed oficerem.

– Ty będziesz szarpał moich ludzi? – wrzasnął oficer, jego ręce obute w czarne, oficerskie rękawice były szorstkie. Dłoń w rękawicy uderzyła chłopaka w twarz z siłą, która go zamroczyła na moment. – Za kamienicę z nim! – wydał rozkaz głosem nieznośnym sprzeciwu. – Niech to będzie nauczka dla innych! – spojrzał na pojmanych wzrokiem pełnym pogardy i mordu, odzwierciedlającym jego bezwzględność.

Oprawcy nie wahali się zbyt długo. Popchnęli Kazika w stronę ruin, gdzie odbywały się egzekucje.

Po chwili dotarli do miejsca, gdzie ludzie byli prowadzeni przez kata i już nigdy nie wracali. Kilka metrów przed nimi leżały porzucane ciała: mężczyzn, kobiet i dzieci. Dzieci jednak nie zostały rozstrzelane – katom było szkoda amunicji. Ich małe główki były roztrzaskiwane kolbami karabinów lub o ściany pobliskich budynków.

Ta sceneria miejsca kaźni na pewno zapadała w pamięć. Obrazy egzekucji musiały być nawet dla barbarzyńskich oprawców nie do zniesienia. Dlatego topili swoje potworne wspomnienia, strach, a może obrzydzenie do samych siebie w gorzałce. Tak było i tym razem, gdy przygotowywali się do zabicia Kazika. Zanim przystąpili do działania, wypili po solidnym łyku spirytusu. To dodawało im animuszu i pewności siebie.

W końcu jeden z żołnierzy wyciągnął pistolet z kabury i przyłożył go do karku ofiary. Kat był na tyle pijany, że mimo ogromnego doświadczenia nie mógł celnie strzelić. Gdy padł strzał, chłopak runął na ziemię, jego ciało nieruchomo leżało wśród gruzów.

Było po wszystkim.

Kazikowi zaczęła wracać świadomość. W nim budziła się jaźń, pełna dezorientacji i lęku. Każda myśl, jak cichy szept w głowie, przypominała mu, że znalazł się w obcym i nieznanym świecie, gdzie nic nie było takie, jak wcześniej. Nagle poczuł, że ktoś próbuje zdjąć mu buty. Skoro tego doświadczył, to był dowód na to, że powraca do życia. Oznaczało to, że przeżył swoją śmierć.

Wokół niego unosił się ciężki fetor rozkładających się ciał, jak duszący płaszcz otulający powietrze. Krew i śmierć przenikały każdy oddech, jakby same chciały zagarnąć go do świata umarłych. Dźwięki stukających kropli deszczu i szum rozkładu wypełniały powietrze, potęgując atmosferę grozy.

Skazaniec zerwał się na równe nogi. Był zakrwawiony, z raną tuż obok potylicy, ubrudzony swoją krwią i krwią innych pomordowanych w miejscu kaźni. Jego oddech był szybki i płytki, a każdy ruch wywoływał ból. Żyjący trup niespodziewanie zaatakował niedoszęłego oficera. Z boku wyglądało to tak, jakby dokonał tego w akcie bezwzględnej zemsty wobec kata bezbronnych cywili, co podkreślało jego desperację i gniew.

Żołdak zamarł na widok przerażającego monstrum o przekrwionych oczach, które zdawało się płonąć żądzą zemsty. Jakby w jednej chwili cała pijacka mgła rozwiała się, pozostawiając tylko surowy strach, wyostrzający każdy jego zmysł. On i inni jego towarzysze, gdy byli trzeźwi, nie byli w stanie dokonywać mordu i zniszczenia. Natychmiast zrezygnował z prawie nowych butów. Nie oglądając się za siebie, z krzykiem pełnym trwogi, próbował uciec, mamrocąc coś pod nosem. Być może modlił się, aby wyjść cało z tej sytuacji. Chwiejnym krokiem pokonał sporą odległość dzielącą go od zbawczych ruin.

Nikt nie przypuszczał, że w tych umierających murach tego miasta zrodzi się nowa istota – przybysz z równoległego świata, którego obecność miała na zawsze odcisnąć piętno na historii tego miejsca. Istota, która przybyła, aby ukryć się przed pościgiem Seehiasza. Tylko w takim miejscu ów nowy byt mógł doświadczyć ostatecznej przemiany, aby narodzić się Mścicielem. Miejsce to musiało być przesiąknięte krwią i wszechobecnym bólem, co tworzyło idealne warunki dla jego przemiany.

Nowa istota w obcym ciele rzuciła się w stronę uciekającego żołnierza. Wojownik nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale jego świadomość podpowiadała mu wspomnienia Kazika, więc znał wydarzenia, które miały miejsce. Był pewien, że ten uciekinier to jego wróg. Wiedział, co należy z nim zrobić. Nie rozumiał, skąd się tu wziął, ale teraz to nie miało znaczenia.

Mściciel zrobił coś, czego przerażony niedoszęły złodziej się nie spodziewał. Podniósł rękę do góry i zrobił gest, jakby kogoś przywoływał do siebie, a wokół niego zdawało się, że powietrze gęstnieje od niewidzialnej siły. Próbujący ukryć się w ruinach pobliskiej kamienicy żołdak zobaczył, jak to okrwawione monstrum znika i pojawia się tuż obok niego. Nazista został zaatakowany. Ruchy ożywionego trupa były nieprzewidywalne i nie do zatrzymania. Poruszał się tak szybko, że żaden człowiek nie był w stanie mu dorównać. Jego ciosy były tak szybkie, że obrona była niemożliwa. Kazik, uderzając, działał z precyzją wytrenowanego zabójcy. Wiedział, czego dokładnie chce i do czego dąży.

Rzucił żołnierza w niemieckim mundurze na ziemię.

Unieruchomił go.

Wyciągnął bagnet zza pasa swojej ofiary.

Mściciel uderzył ostrzem w osłoniętą szyję. Krew trysnęła gorącym strumieniem w twarz niedoszłej ofiary. Kat wydał ostatni charchot i zamarł. Gdy już miał wstać z trupa, ktoś podszedł do niego od tyłu.

– Ręce do góry! – rozległ się rozkaz, ostry jak cięcie noża. Kazik, ledwo odzyskawszy równowagę, posłusznie uniósł dłonie, czując, jak znów napięcie rozlewa się w jego ciele.

– Kim jesteście? – odezwał się Mściciel.

– Nie strzelajcie do niego, to Kazik! – krzyknął podekscytowany Franek.

– Ten, który uratował ci życie? – zapytał z niedowierzaniem obcy głos.

– Tak, ten – potwierdził Franek. – Kazik, ty jednak żyjesz. Dzięki bogu. Chociaż tobie się udało, ale zaraz, ty krwawisz. Sanitariuszka! – krzyknął Franek.

– Miałem szczęście, ten skurwiel, kat, był tak pijany, że nie trafił tam, gdzie trzeba. Ale boli! – Kazik wykrzywił twarz w grymasie bólu. Mówił te słowa, choć wiedział, że nie należały do niego. To wspomnienia poprzedniego właściciela ciała wplatały się w jego świadomość, tworząc dziwny, obcy kalejdoskop doświadczeń. Zastanawiał się, skąd się tu wziął i co właściwie robi tutaj. Nie znał pewnych odpowiedzi. Wiedział tylko to, co przekazano mu w jego świecie. Dawca ciała, do którego przechodzi w innym równoległym świecie, musi być jego wierną kopią, jak brat bliźniak – taki sam. Każdy bowiem w tych światach równoległych ma swój duplikat. Każdy z nich żyje jednak swoim życiem. Jest ono zazwyczaj inne i zależy od środowiska, w jakim się znajduje ten byt. Aby rytuał przejścia między światami mógł się dokonać, jego bliźniak musi być na granicy życia i śmierci.

Zanim zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, do nich podbiegła młoda blondynka z parcianą torbą. Była tak drobna i delikatna, jak ta zgwałcona kobieta dziś rano przez pijanego żołdaka, a potem zastrzelona bez litości. Czy wszystkie kobiety w tym mieście czeka to samo? – pytał sam siebie Kazik.

Zaczęła go opatrywać.

– Czy masz jakieś lustro? – zapytał niepewnym głosem. Pytanie było głupie, ale chciał się upewnić, jak teraz wygląda. Dziewczyna milcząco podała mu lustro, które nosiła w kieszeni.

– Martwisz się, że będziesz szpetny? – zagaiła żartobliwym tonem sanitariuszka.
– Jesteś teraz bardziej męski. Możesz mi wierzyć. Spodobasz się wielu kobietom! – dodała, a jej policzki delikatnie się zarumieniły.

– Skąd wiesz? – odpowiedział drobnej blondynce. Spojrzał na swoją zakrwawioną twarz. Zobaczył swoją podobiznę. Ten, którego ciało teraz posiadał, był taki sam jak on, jak brat bliźniak.

Rozejrzał się wokół. Było to okropne i przerażające morze ruin i zgliszczy, a wśród nich leżało pełno porzrzucanych zwłok. Był zaskoczony tym, co się tutaj dzieje. Zabijanie, jako przedłużenie polityki królestwa i jego władcy, nie było dla niego niczym nowym, ale tutaj mordowanie przypominało wielki ołtarz ofiarny. Dla niego oprawcy tego miasta byli kapłanami Czarnego Pana – uosobieniem zła. Ci kapłani składali w ten sposób ofiary swojemu nowemu bogu, który ku nim nadchodził.

Seechiasz w końcu dotarł do miejsca, gdzie udało mu się odnaleźć ślad tego, którego ścigał: Darkara, znanego jako Mściciel. Niestety, Mściciel umknął mu.

Spóźnił się. Gdy tam przybył, wyczuł aurę Darkara. Został tylko pustelnika, który nie spodziewał się nowego gościa. W pierwszej chwili wściekłość przerodziła się w gniew – miał ochotę wyrznąć i wytępić całe to plugawe robactwo, ale poza starcem, którego zastał, nie było już nikogo. Jednak zdołał, zanim starzec wyzionął ducha, wydobyć z niego to, czego potrzebował. Wiedział już, gdzie jest Mściciel.

Stał wśród ruin. Wszystko wokół płonęło. Czerwone i pomarańczowe jęzory ognia sięgały nieba, a ponad nimi unosiły się kłęby wręcz czarnego dymu. Powietrze od gorąca drgało, jakby w rytm jakiejś skocznej muzyki.

Cała panorama płonącego miasta przyprawiała go o dreszcze. Widać było, że zło w tym świecie zagościło na dobre.

Wskoczył na mur.

Ceglany mur wznosił się na wysokość pierwszego piętra kamienicy. Był częścią tego, co z niej zostało. Jego płaszcz falował w rytm tańczących, ponuro jęzorów ognia. Patrzył przed siebie i oglądał panoramę zarzynanego miasta.

Wreszcie odnalazł to, czego szukał. Aby wysledzić swoją ofiarę, musiał posiadać istotę zamieszkującą ten świat. Wydało mu się, że ta osoba, która zwróciła jego uwagę, będzie odpowiednia. Jeśli nie, posiadzie inną ofiarę. Wreszcie trafi do takiej, która doprowadzi go do poszukiwanego przez Czarnego Pana Mściciela.

Seechiasz ostatecznie podjął decyzję. Owa istota nawet nie wiedziała, że ktoś właśnie posiadał jej duszę i ciało.

W pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby: śledczy z grupy wywiadowczej Johann Sholl, protokolant oraz przesłuchiwany świadek zdarzeń w szpitalu zdobytym przez oddziały SS – SS-Oberscharführer Hannes Runge. Wnętrze składało się z trzech krzeseł, dwóch biurków, lampki i maszyny do pisania. Powietrze było przesycone zapachem dymu papierosowego i stęchlizny, a jedynie dźwięk stukających kropli deszczu odbijał się echem w pustym pomieszczeniu.

– Oberscharführerze, przeczytałem wasze zeznania dotyczące zdarzeń w szpitalu – powiedział, zaciągając się dymem z papierosa Johann Sholl. Jego głos był chłodny, ale w jego oczach można było dostrzec ukrytą frustrację. – Czy nadal trzymacie się tych sensacyjnych, niemożliwych, a może lepiej byłoby powiedzieć nierealnych wyjaśnień? Wiecie co, żołnierzu, ja tak sobie myślę, że byliście tam wszyscy albo tak pijani, albo tak naćpani, albo jedno i drugie – tutaj zrobił efektowną pauzę, pozwalając ciszy wypełnić chwilę –... żeście sami się pozabijali nawzajem. Nie widzę innego wyjścia. Powiedźcie prawdę – spojrzał uważnie, świdrującym wzrokiem, na przesłuchiwanego oficera. – Jak to się naprawdę stało?

– Nie, pańskie insynuacje nie są prawdziwe. Broniliśmy się przed atakiem wroga. – wydyszał ze strachem w oczach Runge, drżąc lekko.

– Jakiego wroga? – nie dawał za wygraną przesłuchujący, opierając łokcie na biurku i patrząc intensywnie na Runge.

– Polskich bandytów, z jakiegoś specjalnego oddziału, uzbrojonych w nieznaną nam broń i świetnie wyszkolonych! Byli, jak pieprzone duchy...! – Runge zaczepił głosem, próbując zrzucić winę na innych.

– Czy możecie jeszcze raz powtórzyć swoje zeznania i opowiedzieć nam jeszcze raz, co tam się zdarzyło? – żądał Sholl, jego ton stawał się bardziej stanowczy.

Hannes Runge głęboko nabrał powietrza w płuca. Odczekał chwilę, jakby na nowo przypominał sobie tamten feralny dzień. Po chwili, z głębokim westchnieniem i drżącym głosem, rozpoczął swoją opowieść.

– Przygotowywaliśmy się do likwidacji wskazanych celów przez dowódcę...

Darkar, stojąc nieruchomo w samym centrum chaosu, wykonał gest se'ara. Prawą ręką, ruchem na zewnątrz, uwolnił falę niewidzialnej energii, która z siłą huraganu rzuciła niemieckich oprawców o ściany sali. Krzyki nagle ucichły, zastąpione martwą ciszą. Mężczyźni padli na miejscu, a ich ciała osunęły się bezwładnie na ziemię.

Nie tracąc ani chwili, Darkar ruszył naprzód. Poruszał się z niehumanoidalną prędkością, której żadne ludzkie oko nie mogło uchwycić. Jego serce biło w rytm adrenaliny, a umysł skupiał się wyłącznie na misji – wymierzeniu sprawiedliwości za krzywdy, jakie poniosły jego bliscy. Gdy zatrzymał się na drugim końcu izby, jego wzrok przeczesywał salę w poszukiwaniu kolejnego celu. W tym momencie padły strzały – dźwięk rozrywających powietrze kul rozbrzmiał w pomieszczeniu. Jednak żadna z nich nie trafiła swojego celu, jakby odpychane były przez niewidzialną tarczę ochronną.

To był ich błąd.

Zanim strzelający zdążyli zareagować, Darkar zmaterializował się przed nimi. Jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że jest po drugiej stronie pomieszczenia. W jego dłoni błysnęła szabla, a oczy płonęły determinacją. Strzelający mężczyźni nawet nie zdążyli zorientować się w sytuacji – ich ostatnim wspomnieniem był cień o ostrych rysach twarzy i zimnym, nieugiętym spojrzeniu.

Darkar nie zawahał się. Dwoma krótkimi, precyzyjnymi cięciami zniszczył ich linie obrony. Krew rozbryzgała się na posadzkę, a ciała osunęły się na zimną podłogę. Zapach żelaza zmieszanego z dymem prochu unosił się w powietrzu, wypełniając salę ciężką atmosferą śmierci.

Pozostali hitlerowscy oprawcy, którzy jeszcze żyli, zaczęli reorganizować się na korytarzach lazaretu. Słysząc było nerwowe rozkazy w języku niemieckim, echo butów uderzających o beton oraz odgłosy przeładowywanych broni. Chaos i dezorientacja panowały wszędzie, gdyż wydarzenia w izbie chorych przerastały ich pojmowanie.

Darkar, korzystając z panującego zamieszania, schronił się w półmroku, w rogu sali. Jego postać niemal stapiała się z cieniem, a oczy pozostawały czujne, przeszukując każdy zakamarek. W tym momencie przypominał bardziej ducha niż człowieka – istotę, która przybyła, by wymierzyć sprawiedliwość.

Wkrótce przez oba wejścia wtargnęli nowi przeciwnicy, uzbrojeni w automaty. Ich ruchy były ostrożne, pełne napięcia. Poszukiwali swojego niewidzialnego wroga. Nerwowe spojrzenia padały na każdy kąt sali, ale żaden z nich nie dostrzegł mrocznej sylwetki wojownika.

Darkar zaatakował pierwszy. Jego ostrze z łatwością przecięło twarz najbliższego wroga, który z krzykiem osunął się na posadzkę. Krew trysnęła szerokim strumieniem, wprawiając pozostałych żołnierzy w zamęt. Nie wiedzieli, skąd nadszedł cios, ani gdzie znajdował się przeciwnik.

To krótkie zawahanie było dla nich zgubne. Darkar cofnął się o krok, oceniając sytuację z precyzją doświadczonego wojownika, po czym ponownie zaatakował. Tym razem jego ostrze przeszło kolejnego przeciwnika. Ostatnie spojrzenie na okrwawioną podłogę było wszystkim, co zdążył zobaczyć żołnierz, zanim jego ciało padło martwe obok towarzyszy.

Grupa pierwsza została unicestwiona. Podłoga tonęła we krwi, a powietrze przesycone było przerażeniem. Zbliżała się druga grupa – lepiej uzbrojona i bardziej zdeterminowana, ale Darkar wiedział, że to jedynie kwestia czasu, zanim podzielił los swoich poprzedników.

SS-Oberscharführer Hannes Runge stał w półmroku korytarza, obserwując rozwój wydarzeń w izbie chorych. Stalowy chłód bijący od betonowych ścian w niczym nie łagodził napięcia, które gęstniało w powietrzu. Przez chwilę wydawało się, że czas zwolnił – wszystko, co widział, było jak koszmar, z którego nie mógł się obudzić. Ciała jego ludzi leżały bezwładnie na posadzce, krew formowała czerwone kałuże, a wszelkie próby oporu wydawały się daremne.

„Kto jest naszym wrogiem? Jak można walczyć z czymś, czego nie widzimy?” – te pytania dręczyły jego umysł, a odpowiedzi pozostawały poza zasięgiem. Runge z trudem tłumił narastającą frustrację i gniew. Przeważenie jego podkomendnych było niemal namacalne. Jeden z młodszych żołnierzy, Friedrich, trzymał broń z drżącymi rękami, a jego twarz bladła coraz bardziej z każdą sekundą. „To jakiś duch, Herr Oberscharführer, duch nas zabija!” – szeptał z desperacją, ale Hannes nie mógł sobie pozwolić na uleganie takim myślom. Nie teraz.

Z rozmyślań wyrwały go chaotyczne salwy broni. Druga drużyna strzelała na oślep, ich kule odbijały się od ścian lub znikwały w pustce. „Celować! Znaleźć cel!” – krzyczał Runge, próbując opanować sytuację, ale jego rozkazy tonęły w panice. Nagle jeden z żołnierzy zauważył intruza – cień, który poruszał się jak wiatr, zbyt szybko, by ktokolwiek mógł zareagować. To, co wydarzyło się potem, było jak koszmar, który Hannes miał zapamiętać do końca życia.

Darkar, niczym upiór, pojawił się nagle wśród jego ludzi. Jego ruchy były tak szybkie i precyzyjne, że pozostali żołnierze padali jeden po drugim, nim zdążyli

zrozumieć, co się dzieje. Friedrich upadł pierwszy, jego twarz zamarła w wyrazie czystej grozy, zanim krew obficie spłynęła po jego mundurze. Gregor, stojący obok, próbował podnieść broń, ale zanim zdążył wcisnąć spust, jego ciało osunęło się bez życia.

Runge, patrząc na tę scenę, poczuł mieszaną podziwu i przerażenia. „To niemożliwe, nikt nie może być tak szybki, nikt nie jest niezniszczalny!” – krzyczał w myślach, ale jego ciało nie było w stanie wykonać żadnego ruchu. Zastygł w miejscu, obserwując, jak ostatni żołnierze padają jeden po drugim.

I wtedy zobaczył go wyraźnie.

Postać ubrana w ciemny płaszcz, z zimnym, nieprzeniknionym spojrzeniem, które zdawało się przenikać duszę. Darkar stał naprzeciw niego, a w jego dłoni połyskiwała szabla ociekająca krwią. Hannes zrozumiał, że to koniec, ale nim zdążył podnieść broń, poczuł piekący ból. Cios, który nadszedł znikąd, powalił go na kolana. Świat wokół niego zniknął w ciemności. Ostatnie, co zapamiętał, to chłód posadzki pod dłonią i echo kroków intruza oddalających się w kierunku korytarza.

W tym czasie reszta oddziału na zewnątrz lazaretu pogrążyła się w kompletnym chaosie. Przeklęte miejsce, które miało być bezpiecznym azylem, stało się areną, na której niepodzielnie panował cień.

Zdarzenia w lazarecie były tak niezwykle, że nawet ci, którzy byli ich świadkami, mieli trudności z ich pojęciem. Towarzysze Kazika widzieli, co się stało, ale nie potrafili tego wytłumaczyć. Każdy z nich nosił w pamięci obraz człowieka stojącego pośród ciał wroga, jak gdyby wyjętego z legend. „Jak on to zrobił?” – to pytanie powracało w ich myślach. Jednak w obliczu tego, co dokonał – uratowania rannych i personelu medycznego przed barbarzyństwem nazistów – odpowiedzi wydawały się mniej istotne. Liczyło się tylko to, że bez Kazika wielu z nich nie przeżyłoby tego piekła.

Kazik sam o sobie mówił niewiele. Gdy pytano go, skąd pochodzi i kim jest, odpowiadał enigmatycznie: „Jestem tylko przechodniem. Moje miejsce nie jest tutaj.” Na początku niektórzy podejrzewali, że trauma wojny wpłynęła na jego umysł, ale z czasem przestali szukać wyjaśnień. Wystarczyło im to, co widzieli.

Wtedy, gdy wtargnęli do lazaretu, zastali Kazika całego we krwi, z szablą w dłoni, a wokół niego leżały ciała nazistów – niektóre spalone na węgiel wzdłuż jednej ze ścian. Widok ten wstrząsnął nimi głęboko. Jeden z towarzyszy, Marek, ledwo powstrzymywał drżenie głosu: „Co... co tu się stało, Kazik? Jak ty to

zrobiłeś?” Ale Kazik milczał, jego twarz pozostawała niewzruszona, a oczy skrywały tajemnicę, której nikt nie mógł poznać.

Z czasem jego niezwykle zdolności stały się tematem szeptów. Gdy uratował kolejne osoby, te opowiadały innym o swoim wybawcy – człowieku, którego nazywano duchem albo aniołem stróżem. Historie o nim zaczęły żyć własnym życiem. Według jednych Kazik był nadczłowiekiem, według innych – istotą wysłaną przez siły wyższe, by chronić bezbronnych. W piekle wojny, gdzie nadzieja była towarem deficytowym, te opowieści dawały ludziom siłę do przetrwania.

Jednak jego zdolności i działania nie umknęły uwadze wroga. Niemcy, zaniepokojeni tym, co zaczęło się rozchodzić wśród ich żołnierzy, utworzyli specjalną komórkę śledczą. Jej zadaniem było nie tylko zniszczenie mitu „ducha”, jak go nazwali, ale także odnalezienie i wyeliminowanie człowieka, który go uosabiał. Każda akcja Kazika kończyła się szczegółowym dochodzeniem – żmudnym badaniem zwłok, analizą pola walki i przesłuchiwaniami świadków. Jednak ich raporty zawsze sprowadzały się do jednego: niczego nie dało się wyjaśnić.

Towarzysze Kazika również próbowali dowiedzieć się więcej. Podczas jednej z wędrowek, gdy mijali ruiny zniszczonego miasta, jeden z nich zapytał: „Kazik, skąd masz te zdolności? Co naprawdę wydarzyło się w lazarecie?” Kazik zatrzymał się na chwilę, spojrzał w dal, jakby nasłuchując czegoś, czego nikt inny nie słyszał, po czym odpowiedział: „Nie pytajcie o to. Są rzeczy, które lepiej zostawić w spokoju.”

Z czasem zaczęli akceptować jego milczenie. To, kim był i skąd pochodził, przestało mieć znaczenie. Liczyło się tylko to, że był tam, gdzie był najbardziej potrzebny – pojawiał się niczym cień, ratując tych, którzy mieli najmniejsze szanse na przeżycie. Każdy krok, każdy cios jego szabli stawał się częścią legendy, która rosła w siłę, przekraczając granice i docierając do serc zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

Seechiasz radował się. W tym chaosie zniszczenia, rozlewu krwi i beznadziei czuł się jak ryba w wodzie. Był jednym z katów tego zarzynanego miasta – a dokładniej, przebywał w ciele jednego z nich. Było to dla niego naturalne środowisko: wszechobecne zło, nienawiść, żądza i pragnienie cierpienia emanowały od tych, którzy stali się jego narzędziami. Z każdą chwilą pochłaniał tę energię, karmiąc się emocjami wypełniającymi ten przeklęty zakątek świata.

Przebywając w umysłach oprawców, Seechiasz widział ich najgłębsze pragnienia – obrazy świątyń ciemności, krwawych rytuałów odprawianych ku czci swojego boga, ołtarze ociekające krwią niewinnych. Były to wspomnienia przerażające, ale dla niego piękne. Każde z nich budowało jego siłę i pozwalało mu trwać. Podróżował od jednego ciała dawcy do drugiego, przejmując ich umysły i wykorzystując je do swoich celów.

W końcu natrafił na coś innego. W ich wspomnieniach dostrzegł ślad kogoś, kto od dawna przyciągał jego uwagę – Darkara. To jego szukał przez długie lata. Wydarzenia, które w ostatnich tygodniach wstrząsnęły miastem, były dla niego niczym drogowskazy prowadzące do ofiary. Każde doniesienie o tajemniczym wojowniku, który unicestwiał całe oddziały, każdy szept o „duchu”, który pojawiał się znikąd, przekonywały go, że jest już blisko.

Ostatecznie upewnił się, gdy usłyszał opowieść od jedyne go świadka wydarzeń w kościele. Człowiek ten mówił drżącym głosem, z przerażeniem w oczach, jak widział coś, czego ludzki umysł nie potrafił pojąć – Darkara, niszczącego swoich przeciwników z nieludzką precyzją. „To musiał być on!” – pomyślał Seechiasz, czując, jak jego wewnętrzny ogień wzbiera na sile. Był tak blisko spełnienia swoich marzeń i odzyskania wolności, że drżał z ekscytacji. Wiedział jednak, że jeden fałszywy krok mógł zaprzepaścić wszystko.

Miejsce to, pełne zniszczenia i bólu, stanowiło dla niego idealne tło. Gdzie mógłby odnaleźć lepsze warunki do realizacji swojego planu? Jednak Darkar nie był łatwym celem. Seechiasz rozumiał, że jego przeciwnik nie jest zwykłym człowiekiem – był kimś więcej, kimś, kto również znał mrok, ale umiał go kontrolować. „Czym on naprawdę jest?” – zastanawiał się demon, przeskakując z umysłu do umysłu.

Friedrich wraz ze swoim kolegą z kompanii otrzymali poważne zadanie do wykonania. Nie kryli niezadowolenia – rozumieli, że zadanie to niosło ze sobą wysokie ryzyko, zwłaszcza w sytuacji, w jakiej znalazł się ich oddział. Rozkaz to jednak rozkaz, a ich obowiązkiem było go wykonać. W zabudowaniach klasztoru oraz pobliskiego kościoła broniło się dość liczne zgrupowanie powstańców. Friedrich i Gregor, zalegając za murem posesji, czuli niepewność i strach, który powoli przeradzał się w frustrację.

Na razie byli pod silnym ogniem i nie mogli nic zrobić poza czekaniem. Każda minuta w tej pozycji wydawała się wiecznością – jedynie kurz i zapach prochu przypominały, że wokół trwa walka na śmierć i życie. Nic nie wskazywało na to, że sytuacja zmieni się w najbliższym czasie. Zatem nie robili nic ponad to, co

musieli. Ich myśli skupiały się na jednym: przetrwać. Każda chwila ostrożności wydawała się warta więcej niż wszelkie zaszczyty.

Być może ta komfortowa sytuacja trwałaby do końca akcji i nie musieliby ryzykować życiem, gdyby nie zmiana w planach dowództwa. Nagle okazało się, że ten kierunek natarcia jest istotny dla planów sztabu. Dlatego podjęto decyzję o wsparciu ich uderzenia przez dodatkowy batalion sprzymierzonych oddziałów RONA.

I tak zaczął się ich dramat. Otrzymali bowiem zadanie osłaniania sprzymierzeńców od strony flanki. W końcu musieli opuścić wygodne schronienie za murem klasztoru i przebiec dwieście metrów przez otwarty teren. Wiedzieli, że to misja bliska samobójstwa, ale nie mieli wyboru. Zerwali się i pędem rzucili ku nowemu miejscu, gdzie mieli się ukryć. Każdy krok wydawał się coraz cięższy, a w ich uszach dźwięczało echo strzałów i krzyków.

Ich nową osłonę miała stanowić zwalony pień potężnego dębu. To właśnie zza niego mieli chronić flankę. Serce Friedricha biło jak oszalałe, gdy biegli, unikając pocisków, które świstały im nad głowami. Pozostał im jeszcze ostatni fragment do pokonania na otwartej przestrzeni, gdzie nie mieli ochrony.

Wtem usłyszeli pierwsze strzały z zabudowań klasztornych. Wszyscy natychmiast rzucili się na ziemię. Tumany kurzu wniosły się ku górze. Friedrich czuł, jak pył osiada na jego twarzy, mieszając się z potem. Głowy zasłonili rękami.

Ostrzał trwał.

Z daleka dobiegały do ich uszu jęki pierwszych rannych. Każdy jęk przypominał im o kruchości życia i o tym, że to oni mogą być następni.

– Kurwa, znów to samo. – Friedrich krzyczał, próbując przekrzyczeć dźwięki walki. W jego głosie pobrzmiwała złość, ale i rezygnacja. – I komu ma ta rzeź służyć? Nam?

– Wiem tyle samo co ty! W Belgii nas wcielili. Tutaj kazali nam przyjść i walczyć z tymi dziećmi. – Gregor spojrzał na niego z zaciśniętymi zębami. – A ja nie mam na to ochoty. I co? Muszę tu leżeć wśród tych świstów kul i jęków rannych.

– Dobra, dajemy za ten pień. Teraz jest szansa! – Friedrich szybko wstał i pędem ruszył przed siebie. To samo uczynił Gregor.

Szczęśliwie we dwóch dotarli do pnia. Padli za osłonę.